

Teatr jednego aktora

11 października 2014

David Cameron za rolę premiera zbiera dobre recenzje i aplauz publiczności, ale partyjni aktorzy drugiego planu są niepopularni. Polityczne przedstawienie konserwatystów opiera się tylko na liderze. Czy to wystarczy do osiągnięcia wyborczego sukcesu?

Konferencja Partii Konserwatywnej, która odbyła się w zeszłym tygodniu w Birmingham, była sprawnie wyreżyserowanym przedsięwzięciem. Prawdziwym politycznym show, w którym nie było żadnego przypadku ani – w przeciwieństwie do konferencji Labour – żadnych wpadek. Ed Miliband, lider Partii Pracy, chcąc błysnąć, postanowił zrezygnować z telepromptera, korzystając jedynie z własnej pamięci, i zapomniał poruszyć kwestię deficytu budżetowego, a także kilka innych punktów gospodarczego programu swojego ugrupowania. David Cameron z wpadki politycznego oponenta wyciągnął wnioski i skorzystał z nowoczesnej technologii. A także z notatek. W efekcie premier wygłosił najlepsze przemówienie od czasu objęcia urzędu.

Oratorskie popisy Camerona docenili także jego polityczni przeciwnicy. Przemówienie było precyzyjne, interesujące i na wysokim poziomie. Media, nie tylko te sytuujące się po prawej stronie politycznego sporu, były zachwycone. Podobnie jak delegaci i sympatycy Partii Konserwatywnej zebrani w Birmingham. Premier dał im nadzieję, że mimo sondażowego deficytu i rosnącej niechęci społecznej torysi są na dobrej drodze do kolejnego wyborczego sukcesu. To wrażenie zostało wzmocnione słabym występowaniem Milibanda. Pozbawiony charyzmy i politycznego czaru lider opozycyjnej Labour dał szansę Cameronowi na zawłaszczenie sceny w politycznym teatrze na Wyspach, a premier ją skrzętnie wykorzystał. Nie jest to jednak żadna nowość. Od czasu objęcia funkcji przewodniczącego Partii Pracy przez Eda Milibanda w medialnej konfrontacji liderów torysi mają miażdżącą przewagę. Przegrywają jednak

jako drużyna. Dlatego robią wszystko, żeby przyszłoroczne wybory sprowadzić do rozgrywki między liderami. Ale czy charyzma Camerona wystarczy, aby po raz drugi z rzędu wygrać wybory?

MASKI CAMERONA

Największy paradoks politycznej rzeczywistości w Wielkiej Brytanii polega na tym, że David Cameron cieszy się dużym zaufaniem społecznym i sporym poparciem, ale jego polityka oraz partia oceniane są krytycznie. Innymi słowy, Brytyjczycy chcieliby na czele rządu obecnego premiera, ale z bardziej progresywną agendą. Dlatego też lider torysów od dłuższego czasu wykonuje ekwilibrystyczny taniec na cienkiej retorycznej linii, żonglując odmiennymi ideami i pomysłami. Z jednej strony mówi o dalszych cięciach budżetowych, z drugiej o obniżaniu kwoty wolnej od podatku. Przekonuje, że jest pasjonatem zjednoczonej Europy i jednocześnie jest otwarty na wyjście ze Wspólnoty. Docenia i wspiera państwową służbę zdrowia, ale z chęcią prywatyzuje coraz więcej usług medycznych. Pragnie silnej gospodarki i godnych pensji dla pracowników, ale kreuje dogodne warunki dla wielkiego biznesu i elastycznego, pozbawionego regulacji rynku pracy. Mówi o rozwoju i przyszłości, ale sięga po idee z przeszłości. Miesza thatcheryzm z blairyzmem, kłania się Nigelowi Farage'owi i puszcza oko do lewicowych wyborców. Pomieszanie z poplątaniem, wyborczy groch z kapustą, który na krótką metę spełnia swoją rolę. Cameron różne polityczne maski zakłada z wielką wprawą i wdziękiem, z każdą z nich wyglądając fotogenicznie. Gdyby politykę sprowadzić tylko do gry pozorów, konserwatysty wygrywaliby wybory w cuglach. Ale oprócz retorycznego dymu i medialnych luster publiczność wciąż oczekuje realnych rozwiązań. Jednak na tym polu torysi nie mają czym się pochwalić.

LEPSZE JUTRO BYŁO WCZORAJ

To nie przypadek, że dużą część swojego przemówienia w

Birmingham Cameron poświęcił opozycji. – To przez was Wielka Brytania pogrążyła się w najgłębszej recesji od czasu wojny. To wy doprowadziliście do największego deficytu w historii. To wy zniszczyliście nasz system bankowy i system emerytalny – grzmiał z mównicy premier. I nie miało znaczenia, że kryzys był globalny, a rząd Gordona Browna ochronił Zjednoczone Królestwo przed totalnym upadkiem, zaś pomysły byłego premiera Wielkiej Brytanii na wyjście z kryzysu były wdrażane również przez inne rządy. Często, jak chociażby w przypadku Stanów Zjednoczonych, ze sporym sukcesem.

W świadomości wyborców ekonomiczne turbulencje, które pojawiły się w 2008 r. i zasadniczo trwają do dzisiaj, to efekt gospodarczego niedbalstwa i niekompetencji Labour. I jednocześnie kamień węgielny retoryki torysów, który pozwala partii rządzącej zrzucać wszelką odpowiedzialność za kiepski stan brytyjskiej gospodarki na poprzedników. Tymczasem mimo drastycznej polityki zaciskania pasa rząd nie osiągnął żadnych z planowanych przez siebie celów w kwestii deficytu. Konsekwencją nieefektywnych i niepotrzebnych cięć są, jak zawsze, ci, którzy znajdują się na najniższych szczeblach społecznej i ekonomicznej drabiny. Jonathan Portes z National Institute of Economic and Social Research prognozuje, że również pomysły torysów dotyczące zwiększenia kwoty wolnej od podatku jeszcze bardziej pogłębi zwiększające się społeczne rozwarstwienie. Bo paradoksalnie skorzystają na tym najbogatsi – ze względu na to, że w pakiecie ze zwiększeniem kwot wolnych od podatku drastycznemu zmniejszeniu ulegną zasiłki Working Tax Credit oraz Housing Benefit. I tak jest z większością pomysłów partii rządzącej. Tych już wdrożonych, jak i planowanych. Bogaci się bogacą. Biedni biednieją. Liczba milionerów na Wyspach się zwiększa. Tak jak i liczba tych, którzy korzystają z pomocy banków żywności. Wyborcy – mimo poparcia dla Camerona – to widzą, dlatego w sondażach wciąż prowadzi Partia Pracy.

KOMU UFA BRYTYJCZYK

Postawione przez Camerona na konferencji w Birmingham pytanie: „Komu ufacie?” będzie kluczowe w najbliższych ośmiu miesiącach. Zwłaszcza że kwestia politycznego zaufania jest w Zjednoczonym Królestwie niezwykle skomplikowana. Bo z jednej strony, jeśli chodzi o posadę premiera i plan ekonomiczny, Brytyjczycy bardziej ufają Cameronowi niż Milibandowi, ale z drugiej Labour jako partia cieszy się większym zaufaniem niż torysi. I to co najmniej od dwudziestu ostatnich lat. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę tzw. pytanie Michigan, które mierzy nie tyle popularność danej partii, ale identyfikację z nią. W Wielkiej Brytanii badania tego typu przeprowadza Ipsos Mori, a pytanie zadawane respondentom brzmi: „Czy uważasz siebie za konserwatystę, laburzystę, liberalnego demokratę, zielonego, czy kogoś innego?”. W 1994 r. za laburzystów uważało się 42 proc. respondentów. Za torysów zaledwie 27 proc. Dziś proporcje te są mniejsze, ale identyfikacja z Partią Pracy wciąż jest większa niż z konserwatystami – w stosunku 31 do 27.

Oznacza to, że brytyjska lewica ma w praktyce znacznie większy twardy elektorat. A także mniejszy elektorat negatywny. Na pytanie: „Na kogo nigdy nie zagłosujesz?” 40 proc. respondentów odpowiedziało, że na torysów. Na Labour nie zagłosuje nigdy 33 proc. badanych. W społecznej świadomości bowiem, mimo niewątpliwego czaru Davida Camerona i oczywistych medialnych braków Eda Milibanda, torysi wciąż jawią się jako „wstrętna partia” reprezentująca interesy bogatych.

Cameron przez ostatnie lata zrobił wiele, żeby pozbyć się tej łatki, ale o ile udało mu się zdobyć społeczny poklask, o tyle próba wyprowadzenia partii z okopów przeszłości się nie powiodła. Konferencja w Birmingham pokazała, że premier ma tego świadomość, dlatego stara się spersonalizować polityczną rozgrywkę. Cameron ma siłę i możliwości, żeby na swoich barkach dźwigać coraz bardziej ciężącą mu partię, Labour ma na tyle silne społeczne poparcie, aby udźwignąć ciężącego jej lidera. Wyborczy sezon w politycznym teatrze na Wyspach się

rozpoczął i zapowiada się intrygująco.

Zjednoczone Królestwo przed totalnym upadkiem, zaś pomysły byłego premiera Wielkiej Brytanii na wyjście z kryzysu były wdrażane również przez inne rządy. Często, jak chociażby w przypadku Stanów Zjednoczonych, ze sporym sukcesem.

W świadomości wyborców ekonomiczne turbulencje, które pojawiły się w 2008 r. i zasadniczo trwają do dzisiaj, to efekt gospodarczego niedbalstwa i niekompetencji Labour. I jednocześnie kamień węgielny retoryki torysów, który pozwala partii rządzącej zrzucać wszelką odpowiedzialność za kiepski stan brytyjskiej gospodarki na poprzedników. Tymczasem mimo drastycznej polityki zaciskania pasa rząd nie osiągnął żadnych z planowanych przez siebie celów w kwestii deficytu. Konsekwencją nieefektywnych i niepotrzebnych cięć są, jak zawsze, ci, którzy znajdują się na najniższych szczeblach społecznej i ekonomicznej drabiny. Jonathan Portes z National Institute of Economic and Social Research prognozuje, że również pomysły torysów dotyczący zwiększenia kwoty wolnej od podatku jeszcze bardziej pogłębi zwiększające się społeczne rozwarstwienie. Bo paradoksalnie skorzystają na tym najbogatsi – ze względu na to, że w pakiecie ze zwiększeniem kwot wolnych od podatku drastycznemu zmniejszeniu ulegną zasiłki Working Tax Credit oraz Housing Benefit. I tak jest z większością pomysłów partii rządzącej. Tych już wdrożonych, jak i planowanych. Bogaci się bogacą. Biedni biednieją. Liczba milionerów na Wyspach się zwiększa. Tak jak i liczba tych, którzy korzystają z pomocy banków żywności. Wyborcy – mimo poparcia dla Camerona – to widzą, dlatego w sondażach wciąż prowadzi Partia Pracy.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)